



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś.  P.

SEWERYNA MAUERSBERGER.

Zacnych ludzi pamięć przechowywać, to gromadzić sobie wzory życia wzniosłe a zarazem oddawać im cześć za to, że przyświecali otoczeniu swemu blaskami cnót, które rozjaśniają nam horyzonty życia powszedniego, wśród których człowiek zmalał by sercem i umysłem, gdyby nie podnosił się duchem po nad zaspokojenie materyalnych jedynie potrzeb swoich. Do takich postaci szlachetnych zaliczyć należy Sewerynę Mauersberger, filantropkę w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu, której oczy zamknęły się w pierwszych dniach ubiegłego miesiąca, ale czyny jej żyją w pamięci ludzi, umiających cenić miłość bliźniego, pojętą wzniosłe, a obok tego wskazówka to jest, że każdy kto na drodze życia swego obrabia pracowicie zagon swój obowiązkowi, pozyskuje taki szacunek ludzi, który z życiem się nie kończy.

Rodzina zmarłej pochodziła z Saksonii; w 1783 r. Adam Mauersberg lekarz otrzymał obywatelstwo krajowe i został zapisany na listę stałych obywateli Warszawy a małżonka jego, Marya z domu Ceich, była córką malarza pochodzącego z rodziny szwedzkiej. Rodzina ta była bardzo zamożna, ale z czasem majątek cały przepadł, i przeniesiono się do Łęczycy, gdzie mąż jako lekarz zyskał sobie uznanie wielkie przez szlachetne miłosierdzie nad biednymi, a żona stanęła mu do

pomocey, założywszy pensjonat pańien. Cnoty tak jak wady przechodzą zwykle z rodziców na dzieci i tu tak było; Aleksander Kraushaar pisząc o lekarzach polskich podniósł zasługi tego rodu, równie jak i inni dziejopisarze. W historii powszechnej Hagena wspomnianym jest zaszczytnie D-r Ludwik Mauersberger, syn Adama. Siostra jego Seweryna, równie jak i brat umiała czuć i myśleć szlachetnie, jak tego dowodzą listy, pisywane przezeń do siostry w 1822-im roku. Piszący je musiał wiedzieć, że zrozumianemi zostaną, że wzbudzą w piersi niewieściej oddźwięk jego uczuć i myśli, a obok wyrazu podniosłych pojęć o życiu i obowiązkach człowieka maluje się tam i gorące przywiązanie rodzeństwa.

Ta dziewczica wyższych pojęć o życiu i jego celach pojmowała zarazem i obowiązki kobiety u domowego ogniska, przykładając tu nieleniwe rękę do pracy; ale ze śmiercią rodziców, z śmiercią narzeczonego staje się naraz samotną i trzeba jej pracować na kawałek chleba, czego się nie lęka przecież. Obiera sobie szlachetny zawód nauczycielki a wyżej wykształcona zdobywa wraz z zadowoleniem wszystkich, wszystkich szacunek, uczniami jej są córki rodzin dostojnych a ona umie ukazywać im ideały te wyższe, które wartość człowieka w jego osobistej godności zawierają.

Aż naraz uderza w nią ciężki grom losu. W 1845 r.; żona jej brata umiera, pozostawiając dwoje dzieci, dwóch synków, z których starszy pięć kwartałów, młodszy sześć tygodni liczy a na tę wieść rzuca wszystko, przyciska do łona sieroty i pisze:

„Dziś życie moje ważniejszym mi się wydaje, cel jego uszlachetniony, potrzebną jestem więc i zdrowie swoje szanować muszę. Życie podobną tak nizekzennem, nędznem mi się wydaje, iż dziwię się że do niego wagę przywiązywałam, teraz co innego, dziś nieszczęście spoilo silniej braterskie ogniwa, teraz życie ma dla mnie cel, ma powab.“

Gdy umarł starszy dziesiętnastoletni jej siostrzeniec a młodszy ukończywszy szkołę główną opuścił Warszawę dla dalszych studiów, nieboszczka całą swą energię poświęciła ochronom;—najprzód Ochrona 6 na Ulicy Browarnej zwróciła jej uwagę i odtąd nie załując ani trudu, ani grosza, całą ochronom się oddała. Praca tej szlachetnej dla tego tak obfity owoc wydała, że umiała wyszukać ludzi dobrej woli i zjednać ich sympatyę dla dzieła, któremu się poświęciła, a należy dodać że między temi osobami skłonionemi dla celów filantropijnych były ś. p. Tekla Rapacka, Konstancja Deskur—obie te panie bogate a bezdietne dużo, dużo dobrego, dzięki radom nieboszczki, czyniły. Przez lat trzydzieści poświęcała się ona ochronom cicho, spokojnie, bez rozgłosu robiła co tylko mogła dobrego, oszczędna prawie skąpa dla siebie, rozrzutna dla innych, zwłaszcza dla biednych. Ciągłe miała na ustach słowa, że pobyt na ziemi jest tylko krótką wędrówką, starać się więc o dobra ziemskie, zabiegać o grosz nie warto, lecz tam w górę trzeba wzrok podnosić bo jak mawiała „tam otarta łza sieroty, otarta łza boleści zamienia się w perłę zdobiącą koronę nieśmiertelności, tam nagroda śmiertelnych, tam koniec cierpień, tam życie pełne nadziei.“

Powtórzmy za „Kurjerem Warszawskim“ z d. 11 Lutego wyrazy czei poświęcone tej szlachetnej, która setki dziewcząt i chłopców wydarła z nędzy i występku. W ostatniej swej woli wyróżniła szczególnie ochronę przy ulicy Browarnej, zakład paralityków, oraz biednych rodzinnego jej miasta Łęczycy. Dodać jeszcze należy że za jej to wpływem zapisała ś. p. Rapacka na kościół na Koszykach 60,000 rs., na ochronę VI 6,000, dla emerytek ochron 3,000.

Z cyklu morskich pieśni.

SONET.

W noc księżycową morze cicho wzdycha,
Piersi mu się podnoszą lekkim odetchnie-
[niem,

Niebo leje weń gwiazdy z błękitów kielicha,
I fala ledwie dyszy półsennem marzeniem.

Naraz, morze się zrywa, ład piersią odpycha,
I rwie się od wybrzeży z gniewnem oburzeniem
Ucieka od przystani, gdzie piasek wysycha,
I faluje w przestrzeni pełnem uniesieniem.

A potem cicho wraca, kładnie się pomału,
Wyczerpane i korne, i znów fala cicha
Drzemie na piersiach ładu, i marzy i wzdycha...

O pieśni, twoja fala wezbrana zapału
Wyrzyna się na pełne morze ideału—
A potem wraca smętna w głąb cierpień kielicha...
Szczęsna.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Janina poruszyła się niecierpliwie.

— Piękne czyny nie potrzebują nagrody...—odezwała się żartobliwie.

Dembiński spojrział z wyrzutem na Amelkę.

— Nie mówi się o wdzięczności, gdzie jest obowiązek... rzekł. Ot, lepiej niech nam pani powie, czemu pani taka zmieniona p. Amelio? Wygląda pani gorzej, niżeli podczas choroby siostry... Wszak pacjentka nasza, szybko się poprawia...

— I po dawnemu kaprysić zaczyna...— uśmiechnęła się z przymusem Amelka.

Po raz pierwszy w życiu, uczuła żal do Janiny. Ach, jak ona by rada spokój i szczęście Dembińskiemu zapewnić! Wszystkie jej myśli kierują się do tego. Wiedząc, że on cierpi, boleje nad jego cierpieniem, o swoim bólu zapominając.

Niecierpliwiła ją to, że nie może wprost powiedzieć Janinie: „Edward ratując ciebie, poświęcał swoje życie... Kocha cię i jakże szczęśliwą jest kobieta, która miłość taką wzbudziła!”

— Podczas choroby twej Janiu, zaszły tu pewne zmiany...—odezwała się po chwili.—Pan Dembiński i zająca jego matka, należą już teraz do naszego rodzinnego kółka, związani z nami węzłem nierozwalnej przyjaźni i zobowiązanego przywiązania. P. Edward w tych ciężkich chwilach jakie przeżyliśmy, nie odstępował nas. Przywykłam już jak brata go uważać...

A gdy Dembiński chciał jej przerwać, dodała prosząc:

— Proszę się nie gniewać. Ta mała kapryśnica powinna wiedzieć coś pan dla niej uczynił... Żałuję, że nie jest jeszcze dość mocną, aby wszystkich szczegółów wysłuchać mogła.

— Wyobrażam sobie, że nie są zbyt zajmujące...— szepnęła Janina z niechęcią i ukryła twarz w poduszce.

Amelka powstała, by przyćmić zbyt jaskrawe światło lampy, gdy wtem, tłumione łkanie obito się o jej uszy.

— Janiu!—pyta, podbiegając szybko. — Co się stało?

Dembiński zerwał się przestraszony.

— Panna Jania rozkaprysiła się na dobre...— rzekł, siłąc się na spokój.—Zdaje mi się, że to obecność moja przyczynia się do tego... Nic trafniejszego nad pewne przysłowie: „Nie chwał dnia przed zachodem.” W przedziwnej zgodzie byliśmy dzisiaj, póki duch jakiś przekorny nie zakłócił harmonii... Uciekam zatem!

— Cóż znowu, doktorze!—oburzyła się Amelka.—To są jeszcze chorobliwe wybryki, rozdrażnienie, które przychodzi szybko i równie szybko mija...

— Wiem o tem!—odparł uśmiechając się pobłażliwie.—Powiedziałem przed chwilą p. Janinie, że do pewnego czasu wszyscy jesteśmy jej niewolnikami... Tylko że moja obecność przypomina miksturę, niesmaczną, gorzką, więc w pokoju chorej, nie może być pożądaną.

Sklonił się i wyszedł.

Za drzwiami dopiero, odetchnął głęboko i czoło mu się zachmurzyło.

Był zgnębionym. Zdawało mu się, że ukochana dziewczyna czuje do niego wstręt, którego ani czas, ani przywiązanie, pokonać nie zdołają.

Janina po jego odejściu wybuchnęła z goryczą.

— Niemały ciężar dźwigać mi każecie...—zawołała.—Czuć się wiecznie skrepowaną jakimś uczuciem wdzięczności względem kogoś... Arcy przyjemna rzecz! Doprawdy, byłabym stokroć wolała, aby ten szlachetny doktor, nie był się poświęcał dla mnie...

— Janiu! Dziecko drogie, co ty mówisz?—przerwała jej z oburzeniem Amelka.

Janina nie ustępowała. Gniew jej, przeszedł wkrótce w rozżalenie. Skarżyła się Amelce, że jej teraz życie zbrzydnie, bo wciąż przypominać sobie będzie, że je komuś zawdzięcza. Zapewniała, że znienawidzi Dembińskiego i on, chyba dla tego aby dumę jej ukarać, tak się nią troskliwie zajmował.

Nie pomogły perswazyje Amelki. Upierała się przy swoim i z rumieńcami gorączkowymi na twarzy, z okiem błyszczącym, prosiła, aby wywieziono ją z Zarzecza.

— Chcę pojechać do Warszawy—mówiła podrażniona.—I tak, gdyby nie moja choroba, rodzice byliby dawno wyjechali. Tam prędzej siły odzyskam. Sprzykrzyła mi się ta niewola!

— Nie pojmuję cię, Janiu...—perswadowała zmartwiona Amelka.—Jest coś słodkiego, coś wzruszającego w takim bezgranicznym poświęceniu się, chłodnego i dumnego jak Edward człowieka. Ach, Janiu! gdybyś była już silną o tyle, abym mogła wszystko ci wyjawić!

— Dostateczne dla mnie to, co wiem;—wtrąciła Janina, tuląc się do siostry.—Chcę wyjechać... chociażby jutro... Niepokoją mnie wspomnienia, nęka mara jakaś... Lękam się, sama nie wiem czego...

Łzy pojawiły się znowu w jej oczach, więc Amelka strwożona, obiecała pomówić z rodzicami.

Ciężko jej było dawać obietnicę, która, pewną była, że Dembińskiemu sprawi boleść.

Gdy się razem przy kolacji znaleźli i spojrzęła w jego bladą, zmęczoną twarz, postanowiła bądź co bądź, odwieść Janinę od opuszczenia Zarzecza.

Dembiński cierpiał istotnie.

Ostatnie wypadki, wykoleiły go ze zwykłej równowagi. A teraz jeszcze ta niechęć Janiny!

Sen uciekał od niego, zapaliwszy więc papierosa wyszedł do parku, chcąc przetrwać ból i zapamiętać nad rozdrażnieniem.

Kochał ją jak szalenie; żelazna jego wola kruszyła się, w obec tego uczucia i sam, nierad przyznawał się do tego. Zamilkły rozumowania wszelkie, stepiła się energia.

— Ukochałem ją tak, jak tylko serce męskie, raz w życiu ukochać może...—powiedział sobie i jednocześnie pomyślał, że on, większym jest szaleńcem, niżeli ten nieszczęśliwy, którego w ów straszny wieczór, z objęć śmierci wyrwać nie zdołał.

Błądząc między drzewami, sam niewiedząc kiedy, znalazł się nad brzegiem jeziora i ta okropna chwila uprzytomniła mu się w pamięci.

Tylko dziś, nie szemrały fale, w modrej toni nie przeglądały się gwiazdy; noc była ciemna, bezksiężycowa, a jezioro skute w pancierz lodowy, nie groziło niebezpieczeństwem.

Wspomnienie to, w jednej chwili zniweczyło żal do Janiny. Czyż nie dość dla niego, że ona żyje? Powinien stłumić, zgnieść w sobie tę miłość, chociaż czuł, że jest dla niego najwyższym skarbem na ziemi. Nie należy przecież do rzędu tych, których umysł obłąkany uczuciem zapomina, że życie to tylko jeden wielki obowiązek.

Z ciężkiem jednak sercem powracał nazajutrz do domu. Widziała jego cierpienie matka, ale nie pytała o nie...

— Niech się ból przetrawi...—szepnęła do siebie.—Będzie cierpiał, lecz się nie ugnie...

XV.

— Jadę do Zambrówki, Heleniu!—rzekł w dni kilka potem p. Klemens, zając z apetytem śniadanie.—Ostatnie wypadki zanadto czas mój absorbowały. Wszelkie kombinacje i interesa ustąpiły, w obec trwogi o naszą pieczęć. Z duszym rad, że się to przecie skończyło. Muszę do zajęć biurowych powracać, przedtem atoli, chce się szczegółowo w interesach Zambrowskich rozpatrzyć. Mogłby mi kto taki porządną kąsek sprzątnąć...

P. Helena spojrzęła na męża zdumiona.

— Więc wciąż trwasz w zamiarze nabycia Zambrówki?—spytała przerażona.

P. Klemens dowcipnie się uśmiechnął.

— Czyż ja kiedykolwiek pozbywam się raz pożytych planów?—odparł z fanfaronadą.—Jak ty mnie jeszcze nie znasz duszeczko!

Układał kawał szynki i delektując się nią z miną smakosza, mówił dalej:

— Do interesów potrzeba mieć kochanie pewien zmysł dodatkowy. Tuszę, że go posiadam... Udało mi się zwykle każde przedsięwzięcie; wiesz o tem najlepiej!

— Mój drogi Klemensie, zrozumieję nareszcie o co mi chodzi...—podjęła odważnie p. Helena.—Wszak mówiliśmy już o tem? Pamiętasz?

Elegancki małżonek obtarł usta serwetą, z całą systematycznością dobrze wychowanego człowieka; poglądził faworyty, obejrzał wydelfikowane ręce i jak gdyby nie słyszał słów żony, skupiony w sobie zaczął mówić powoli i z namysłem.

— Interesa, to tak jak dobrze przeprowadzona kampania. Wódz musi wszystkie punkta strategiczne rozpatrzyć, umieć wyzyskać najdrobniejszy szczegół... Strona przeciwna, ma zawsze Achilleową piętę, w którą trafić można. O ile mi się zdaje, Zambrówka znajduje się obecnie w tem położeniu, że naprzężona jej sytuacja wszelkich korzyści i ułatwień spodziewać się może.

— Jak ty możesz tak mówić, Klemensie!—zawołała z oburzeniem p. Helena.—Czyż nam wolno z takich smutnych okoliczności korzystać?

— Tak się zwykle dzieje, duszeczko!—odparł słodko.—Jest to jedyna, możliwa droga szybkiego wzbogacenia się... Prawo bytu ogólne! Głupcy upadają, mądrzejsi na tych ruinach się wznoszą.

— Ale zawsze kosztem ofiar z jednej strony...—szepnęła z goryczą p. Helena.

P. Klemens uśmiechnął się, że uwagi tej nie słyszy.

— Obowiązkiem jest uczciwego ojca rodziny, nie pomijać sposobności przyspożenia dzieciom fortuny...—rzekł dobitnie.—Niechże moja egzaltowana żoneczka nie zapomina, że kupiłem Zarzecze dla zadowolenia jej estetycznych gustów... Zambrówka dopiero pogodzi nas ze stroną praktyczną. Jaka tam ziemia, jakie łąki! Będzie to jeden z najkorzystniejszych interesów, jaki mógłbym zrobić kiedykolwiek w życiu. Żyjemy po magnacku żoneczko; stosunki nasze rozszerzają się, potrzeby rosną...

— Któż tego pragnie?—spytała p. Helena.

P. Klemens powstał i w całej okazałości stanął przed żoną.

— Ja, duszko!—rzekł, z nienasładowanym wyrazem pychy.—Znasz mnie chyba, że nie należę do rzędu tych półgłówków, którzy patrzą obojętnie, jak używają inni... Możliwość zdobycia sobie prawa używania, leży w nas samych.

Zadzwonił na lokaja i zadysponował konie. Po-
czem ucałowałwszy z galanterią zwykłą rękę żony,
opuścił pokój.

W kwadrans potem sanki stały przed gankiem.
Śliczne siwki podrzucały śnieg kopytami. P. Kle-
mens wbiegł na chwilę do sypialni Janiny.

— Przyszedłem pożegnać cię dziewczeczko, — rzekł
swoim pieśczętliwym głosem. — Jadę do Zambrów-
wki.

Janina drgnęła.

— Do Zambrówki? Po co ojezuku?

Uśmiechnął się filuternie.

— Zaokrąglić sumkę posagową dla mojej nie-
grzecznej córeczki, — odparł żartując.

— Nie rozumiem, ojeze!

— Zrozumiesz wkrótce, ale teraz nie zatrzymuj
mnie kochanie. Konie się niecierpliwią...

Pożegnał córkę i wyszedł.

Janina posłała po Amelkę.

— Amelciu! — wołała niecierpliwie zobaczywszy
wychodzącą siostrę. — Po co ojeiec pojechał do Zam-
brówki?

Amelka, która słyszała rozmowę rodziców, zaru-
mieniała się gwałtownie.

— Prawdopodobnie zwyczajna wizyta sąsiedz-
ka... — rzekła wymijająco. — Wiesz przecie, że i ma-
ma wybierała się do p. Orzełińskiej w odwiedziny.

Janina, nerwowym ruchem mietosiła w palcach
kartki trzymanej w ręku książki.

— Nie wiem doprawdy, co wam wszystkim z tą
Orzełińską do głowy przyszło... — szeptała podraż-
niona. — Wciąż mi się to nieznosne nazwisko o uszy
objaja... Radziłyście się widzę całym światem zaj-
mować.

— Nieszczęśliwa jest i opuszczona... Czy to nie
dosyć? — odparła Amelka. Spostrzegłszy atoli roz-
drażnienie Janiny, starała się zająć ją i rozweselić.
Tymczasem eleganckie sanki Krasnohorskiego,
mknęły szybko w stronę Zambrówki. Twarz jego
promieniała zadowoleniem! Był już spokojny o Ja-
ninę i rad, że po dniach smutku i zamieszania, do
zwykłych, normalnych warunków powróci.

A przytem ta Zambrówka! Interes świetny, któ-
ry mu sam w ręce lezie... Wdowę byle czem za-
spokoić można i w dodatku bez wyrzutów sumienia.
Mają skorzystać inni, toż lepiej że on skorzysta...

Na tych rozmyślaniach, droga szybko mu zbie-
gła. Ani się spostrzegł, gdy konie zatrzymały się
przed pałacem w Zambrówce.

Jakże smutno na tle zimowego krajobrazu wyglą-
dał. Pustka, zniszczenie wyzierały zewsząd i gdy
dobroczynny cień drzew nie osłaniał odrapanych
ścian i kruszących się cegieł, pałac wyglądał jak
ostateczna ruina, której nikt nie podparł, nie ra-
tował.

P. Klemens w przedpokoju oddał futro zaspane-
mu wyrostkowi i zapytał o panią.

— Pani dziewczeczka jest na pokojach, — odparł
z głupowatą miną chłopak. — Niech jaśnie pan ot,
w te drzwi prosiuteńko... Pani tam się z Abramkiem
rachuje, bo pono owce od nas kupił...

Istotnie z głębi domu dochodziły podniesione
głosy, coś jak sprzeczka, w której ochrypły głos
mężki górował nad smutnym dźwiękiem łagodnego,
kobiecego głosu.

Chłopiec powiesiwszy futro, już się o gościa nie
troszczył i pomknął na ganek, zobaczyć piękny za-
pręg.

P. Klemens nieco tem stropiony, obejrzał się.
Nie było nikogo, ktoby przybycie jego pani domu
oznajmił.

Musiał tedy sam się meldować.

Z pierwszego pokoju, do którego wszedł widać
było siedzącą w następnym Orzełińską, plecami do
drzwi odwróconą i zgarbioną postać Abramka, sto-
jącego przed nią.

Pokój był niewielki i skromne miał sprzęty; biu-
reczko jeno małe, zgrabne, misternie zrobione,
a nad niem portret nieboszczyka Orzełińskiego, na-
turalnej wielkości, w grubo złoconych ramach, o le-
pszej przeszłości opowiadały.

W pokojach chłód panował, a chociaż w lesie
zambrowskim drzewa nie brakowało, piece dawno
nie przestawiane dymiły i nie udzielały ciepła.

Orzełińska zmartwiona, zirytowana, nie słyszała
brzęczących u sanek dzwonek, i nie zauważyła
wychodzącego. P. Klemens w pierwszym pokoju
dyskretnie się zatrzymał.

— Mój Abramku, — mówiła Orzełińska, nie ukry-
wając gniewu, — dziwię się, że ośmielasz się z podo-
bną ceną występować... Trzeba mieć sumienie
i nie wyzyskiwać mojego położenia. Wiecie, że
podatki opłacić muszę, a nie mając pieniędzy sprze-
daję owce...

Stojący przy drzwiach Krasnohorski, zatarł z za-
dowoleniem ręce.

Abramek się obraził.

— Wielmożna pani przekonała się chyba, że
Abram Fisz sumienie ma i sumiennie handluje...
Gdzie pani kupca na takie chude owce znajdzie? Ja
więcej daję, niżeli one warte...

— Niech Abramek postąpi cośkolwiek — odezwa-
ła się z widoczną przykrością Orzełińska. — Po trzy
rabie sztuka i interes skończony.

— Ani grosz więcej, jak złotych dziesięć... — sta-
nowczo zawyrokował Abramek, wyciągając pękaty
pugilares. — Owce mogą zdechnąć, kto to może wie-
dzieć? Ryzyko!

Orzełińska zawahała się.

— Nie chcę! — rzekła po chwili. — Skrzywdzi-
łabym samą siebie. Paszy brak, jagnięta podobno
w okolicy zdychają... Pragnęłam kłopotu się pozbyć,
ale za taką cenę, niepodobna.

— Jak owczarz sześć dni w tygodniu pije, to
musi paszy brakować — odpowiedział żyd przebie-
gle. — Rankiem furmanka od propinatora pod stodo-
łami stoi... A jakże! Snopki wywozi... aj! A gdzie
te dwa barany co to takie tłuste były, he? Niech
wielmożna pani zobaczy... Skóry z nich u Lajbusia
wiszą, a mięso wielmożna pani na obiad zjadła
i jeszcze po 9 kopiejek zapłaciła. To jest dobry
interes, co się nazywa dobry!

Abram śmiał się; Orzełińska patrzyła na niego
zdumiona.

— Czy to być może? — szeptała. — Owczarz mel-
dował, że ktoś ukradł...

— Albo nie? On sam ukradł i sprzedał. Tak
będzie i z innemi. On za wielmożną panią sprzedą,
tylko pani pieniędzy nie weźmie...

Orzełińska milczała. Widać było, że się lęka,
waha...

— Ach, gdyby nie podatki! — szepnęła wreszcie
i one rozstrzygnęły kwestję. Abram kryjąc z tru-
dnością zadowolenie, z pośpiechem pugilares otwo-
rzył.

Kładł już pieniądze na stół, gdy p. Klemens zja-
wił się w pokoju.

Nastąpiły powitania. Orzełińska zaambarasowa-
na, odprawiła żyda i poprowadziła gościa do salo-
niku, w którym dawne zabytki lepszej przeszłości
z miłością snadź zachowane były, bo wszystko zo-
stało w nim jak wówczas, gdy młody Wacław Orze-
liński, młodziutką żonę do niego wprowadził. Pan
Klemens, ze swobodą światowca, obsypał panią domu
komplementami, które pozwoliły jej opanować wzru-
szenie, niespodziewanym jego widokiem wywołane.

— Gdyby nie to, że smutne, ciężkie, przebywali-
śmy chwile, byłbym dawno do Zambrówki pośpie-
szony! — usprawiedliwiał się uprzejmie. — Wyznaję,
żem się niepokoił o panią... Jakże pani sobie ra-
dzi? Czy stosunki z chłopami i ze służbą ułożyły
się znośniej?

Orzełińska spuściła głowę.

— Nie się nie zmieniło — odparła smutno. — Kto
wie, czy nie jest gorzej?

— Opłakane warunki! — narzekał p. Klemens. —
Smutne następstwa rozpieszczania chłopów, nie
długo na siebie czekać kazwały...

— Zambrówka, w wyjątkowym znajduje się po-
łożeniu, — odezwała się Orzełińska. — Złe byłoby,
gdyby wszędzie działo się to, co tutaj...

P. Klemens się uśmiechnął.

— Więc pani dotąd jeszcze zachowała złudze-
nia? Ale to wzruszające doprawdy! Ja niestety,
widzę rzeczy takimi, jakimi one są w całej swej
obrzydlivej nagości... No, ale to kwestya zapatry-
wań. Pomówmy o interesie. Mimowolnie słysza-
łem urywek rozmowy pani z kupcem... Pani sprze-
daje owce? Niechże mi śmiałość moja wybaczoną
będzie, ale skoro pragnę być pani użytecznym, trze-
ba mi się jak księdzu, ze wszystkiego wypowia-
dać...

Uśmiechał się dobrotliwie, ton serdecznej życzli-
wości słowom swoim nadając, poczem rzekł:

— Kupiec chciał panią oszukać... Rad jestem,
żem wczas przybył. Jakże podatki ciążyą na Zam-

brówce? Może się to bez sprzedaży owiec za-
łatwi?

Orzełińska, ujęta jego dobrocią i życzliwym obej-
ściem, wypowiadała się ze swoich trosk powoli.

P. Klemens słuchał, kombinował, a im w cięż-
szych warunkach znajdowała się wdowa, szanse dla
niego okazywały się lepsze.

— Niech pani będzie spokojna, — powtarzał,
udając głębokie dołę jej przejęcie. — To się wszyst-
ko wyrówna, załatwi. Owce ja kupuję; oczywiście
w innej cenie niżeli ten oszust, który chciał panią
oszukać. Proszę panią jak o łaskę, w każdej waż-
niejszej sprzedaży porozumiewać się ze mną.

Orzełińska zarumieniona, nie wiedziała jak mu
dziękować. Nie było jednak radości w jej smut-
nych oczach. Życie ciążyło na niej ogromnem
brzemieniem, i dźwignięcie się jakimkolwiek kosz-
tem, uważała już za niemożliwe.

Powiedziała to otwarcie Krasnohorskiemu, lecz
ten się oburzył.

— Niech się tylko pani nie poddaje zwątpieniu,
niech pani los kapryśny wywie do walki... Zoba-
czymy, kto zwycięży! — mówił, zapalając się. — Oczy-
wiście, gdyby pani zdecydowała się sprzedać Zam-
brówkę... Ale nie chcę poruszać tego przedmiotu,
wiedząc jak dla pani jest niemiły...

Orzełińska westchnęła.

— Zdaje mi się, — odparła, — że brak zasobów
materiałnych w obec konieczności zaspakajania
potrzeb codziennych, jak również miejscowe opła-
kane stosunki, zmuszą mnie wreszcie do tego. Jest
to bardzo bolesne, ale — obym się myliła — nieuni-
knione. Zambrówka długo takiego naprężenia nie
wytrzyma.

— Więc pani decyduje się? — podchwycił gorącz-
kowo p. Klemens.

— Lękam się, że do tego przyjdzie, — odparła
hamując wzruszenie. — Chcąc cośkolwiek chociaż
uratować... Rządca robi interesa na swoją rękę,
inni mu pomagają... Oddałę tego, następny bę-
dzie robił to samo, czując słabą nad sobą władzę...
Trudność wielką przedstawia także wydobyć na-
leżnych mi wypłat czy to od propinatora, czy od
młynarza i innych... A to jest przecie dochód
stały i wypłacany regularnie, mógłby służyć do za-
spokojenia podatków, lub opłacania rat Towarzy-
stwa...

— Dlaczego pani nie zagrozi im sądami? Najle-
psza rzecz! — pouczał Krasnohorski. — Wtedy przy-
ciśnięci, muszą oddać.

— To środek zbyt gwałtowny! — odpowiedzia-
ła. — Sprawiłoby mi przykrość mieć do czynienia
z sądami i egzekwować ludzi, którzy razem ze
mną mieszkają w Zambrówce i pracują. Zresztą
jakaby to potem niechęć wybuchnęła... Bolesnie
jest zagłębiać się w to wszystko...

Umilkła wzruszona, p. Klemens dosyć się już do-
wiedział. Ze zwykłym sobie taktem, wnet zmienił
rozmowę.

— Jakże pani czas przepędza? — pyta troskli-
wie. — Zima na wsi taka nudna... Czy ma tu pani
sąsiedztwa jakie? Dzieci zdrowe?

— Nie bywam nigdzie... — odpowiedziała uśmie-
chając się swobodnie. — Wcale mi do świata nie
tęskno... Dzieci przebyły szkarlatynę, lecz dzięki
niewyczerpanej troskliwości doktora Dembińskiego,
wszystko przeszło szczęśliwie.

Ożywiła się, mówiąc o dzieciach, a p. Klemens,
gdy nazwisko Dembińskiego posłyszał.

— Zaczny człowiek, godny człowiek! — powtarzał
z istotnem przejęciem. — Brakłoby słów gdyby się
chciało, odmalować go takim, jakim jest... Jemu
tylko życie naszej najdroższej córki zawdzięczamy.

Uchyliła się na chwilę maska, którą p. Klemens
zawsze nosił i rozrzwinięcie głębokie wybiło się na
jego pięknej twarzy.

— Wyjątkowo szlachetny... — szepnęła z uczu-
ciem Orzełińska. — I ja wiele mam mu do zawdzię-
czenia.

Spojrzała na zegarek.

— P. Dembiński przyjeżdża trzy razy tygodnio-
wo pouczać mego chłopca, — rzekła. — Prawdopo-
dobnie wkrótce go ujrzymy.

P. Klemens zdumiony, bystro spojrzał na nią.

— Czy to być może? — spytał. — Lekarz w roli
nauczyciela? Ależ to istotnie poświęcenie...

W oczach Orzełińskiej lży zabłyśły.

— I ja tak to uważam... — szepnęła.

P. Klemens przyglądał jej się z zajęciem.

Orzełińska zarumieniona, wzruszona, wydała mu się o wiele młodszą i, teraz dopiero gdy przestał myśleć na chwilę o interesie jaki do Zambrówki go ciągnął, zwrócił na właścicielkę tejże, baczną uwagę.

Był zdumiony.

— Gdzien ja oczy podział, mówiąc żonie, że ona brzydka... — myślał, rozbierając szczegółowo piękne rysy Orzełińskiej.

Jakie przepyszne oczy, jaki szlachetny wykrój ust, prawdziwie ponętnych... Ależ ta kobieta dziś jeszcze głowę zawrócić może każdemu.

— Więc p. Edward bywa częstym u pani gościem? — pyta, myślą jakąś zaniepokojony.

— O tak! — odparła szczerze. — Mieszkamy blisko, a p. Dembiński stanowi nieledwie jedyne dla mnie towarzystwo kobiece. Od śmierci męża, zerwałam wszelkie z sąsiedztwem stosunki.

— To niedobrze! — zauważył p. Klemens. — W przyjacielskim współczuciu, byłaby pani z pewnością znalazła pociechę i rozrywkę.

Orzełińska uśmiechnęła się smutno.

— Wolałam oszczędzić sobie bolesnego rozczarowania — rzekła tylko, zwracając rozjaśnione oczy, w stronę drzwi, które lekko się uchyliły. — Pójdźcie dzieci! — zawołała.

Śliczna parka wbiegła do salonu. P. Klemens, który dzieci te widział po raz pierwszy z trudnością się powstrzymał, aby głośno zachwytu swego nie objawić.

Chłopiec był prześliczny, dziewczynka ujmowała pieśczośliwym wdziękiem obok powagi, którą, tak jak matka, nosiła w oczach i na czole.

Przywitały p. Klemensa swobodnie, z wrodzoną już dystynkcją, której największe nawet ubóstwo, zatrzeby nie potrafiło. Chłopiec wnet objął szyję matki, dziewczynka z objęciem jej przypatrywała się Krasnohorskiemu, a tworzyli razem tak śliczny obrazek, że p. Klemens przyglądał mu się z zajęciem.

— Pojmuję teraz, że nie śpieszno pani do zabaw i stosunków z ludźmi, — rzekł. — Ma pani w domu taką przyjemną rozrywkę, która niejedną słodką chwilę osłodzi.

— To moja siła, która chroni od rozpacz i zwątpienia... — szepnęła gładząc główki dzieci.

P. Klemens patrząc na nią, wciąż w myśli powtarzał:

— Jakem ja mógł piękności tej kobiety nie zauważyć!

Na miłej, serdecznej pogawędce godzina zbiegła szybko, i gdy do skromnie lecz elegancko zastawionego podwieczorku zaprosiła go sympatyczna gospodyni domu, zdziwił się, że tak długo w gościnie się zasiedział.

Pili właśnie kawę, gdy Dembiński nadjechał.

Dzieci rzuciły się ku niemu z radością, Orzełińska witając go, zarumieniła się.

P. Klemensa szczegóły te zaniepokoiły. Zląkł się, czy w projektach jego, sumienny i uczciwy Dembiński, nie będzie mu przeszkadzał.

Doktor witając p. Klemensa, najpierw o pacyentkę swoją zapytał.

— Poprawia się... — odparł p. Klemens. — A najlepszym tego dowodem, że jej się gwałtownie zachciało do Warszawy wyjechać. Chce mnie przekonać, że tam prędzej siły odzyska.

Dembiński drgnął przestraszony.

— P. Janina chce wyjechać? — pyta.

— I to bezzwłocznie! — śmiał się p. Klemens. — Kaprys chorobliwy widocznie. Oczywiście pan tylko wyrokować może w tej sprawie...

Dzieci ze swoją prawdomównością bywają niekiedy okrutne.

Oleś najpierwszy zauważył głośno, że p. Dembiński pobladł...

— Istotnie, niedobrze pan wygląda, p. Edwardzie! — podjął z troskliwą uprzejmością p. Klemens a jednocześnie do poprzednich jego spostrzeżeń, przybyło jeszcze zaleźnione spojrzenie Orzełińskiej, badawczo w twarz doktora utkwione.

Dembiński pokonał szybko wzruszenie.

— Zdrow jestem! — odparł spokojnie. — Co do wyjazdu p. Janiny, jeśli zasób sił odpowie pragnieniu, można jechać...

— Coś w tem jest!... — mówił do siebie p. Klemens, wkrótce potem wracając do domu. — Orzełi-

nska się rumieni, Dembiński blednie... Kwestya ta, wcale interesująco i niepokojąco wygląda! Po jakiego licha ten pocziwy Edward zamiary moje płacze... Ta przyjemna filantropia, na każdym kroku figle ludziom płata. Szczególny człowiek! To się na oślep w wodę rzuca ratując piękną pannę, to dzieci wdowom kształci... Taki już widocznie amator!

To mu jednakże humor popsuło.

Późno już było, gdy do Zarzecza powrócił.

— Jasnie pani jest u młodszej panienki... — meldował mu służący gdy go o żonę zapytał.

Tam też pośpieszył.

— Ach, ojezulek! — zawołała Janina, ujrawszy wchodzącego. — Jak to dobrze, że ojezulek przyjechał! Dzień był taki smutny i nudny...

— Ja się wcale dobrze bawiłem, — rzekł p. Klemens, witając żonę i córki. — Wyobraźcie sobie, że ta Orzełińska oczarowała mnie... Słaby byłem, żem od razu piękności jej nie dostrzegł. Zastałem tam Dembińskiego...

Janina poruszyła się niecierpliwie.

— No i co ojezulek? — pyta żywo.

— Niebawem historye, moja ciekawa panienko... — odparł żartobliwie p. Klemens. — Twój poważny doktor, jest nie mniej poważnym bakałarzem u p. Orzełińskiej. Uczy jej dzieciaki! Śliczne dzieciaki!

— Czy to być może? — spytały jednocześnie Amelka i Jania.

Zmęczona twarz p. Heleny ożywiła się... Dembińskiego, kochała teraz niemniej od swoich córek.

P. Klemens musiał opowiadać wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami.

— Coś to tam jest między nimi — zakonkludował wreszcie. — Widziałem to wyraźnie.

Janina zarzuciła ręce na szyję ojca.

— Tateczku... — szeptała pieśczośliwie, — kiedy my wyjedziemy? Zarzecze mi tak zbrzydło... Ja tu nigdy zdrową nie będę...

P. Klemens przytulił ją do siebie.

— Panienka teraz rozkazuje, — rzekł. — Ha, cóż robić! Ja się wcale o to nie gniewam, że was będę miał przy sobie, a wracać muszę...

We dwa tygodnie potem, Krasnohorsey opuścili Zarzecze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WŁOCH

Niewesoło tu u nas, niefortunna kampania w Afryce rzuciła całun żałoby na Włochy całe a zapalność włoskiej natury sprawia, że klęski poniesione zamiast poważnego skupienia się w sobie doprowadzają do przykrych demonstracji i doszło już do tego, że którejs nocy patrol konne musiał rozprasać w Rzymie tłumy wzburzonego ludu, w pośród którego głosy kobiet rozlegały się płaczem i jękiem rozpaczonym, że ich mężów, ich synów wydano lekko-myślnie na rzeź okrutną. Przed budynkiem opery w Medyolanie jakiś drab zuchwał z dzikiem spojrzeniem strzelił z rewolweru do żandarma konnego i zranił pod nim konia, uszedł przecież bezkarnie bo tłum stał po jego stronie i skupiając się hardo, nie dał do niego przystępu. Król Humbert zapowiedział też, że z powodu żałoby narodowej uroczystości jego urodzin, zwykle obchodzone bardzo świetnie, nie będą mieć miejsca, bo też wkrótce przed tem wiadomości przesłane z pola bitwy pod Aduą, w której walczyło 18,000 najdzielniejszego wojska włoskiego, doniosły iż 4,500 ludzi poległo, lub zostało ciężko rannych, czy wziętych do niewoli. Król Humbert postanowił też aby rocznica jego urodzin, d. 14-go marca obchodzona zwykle bardzo uroczysto w całym kraju, odbyła się cicho, bez żadnych oznak wesołości.

Nie mogło też być inaczej, bo i tak jednej nocy urządzono na ulicach Rzymu bardzo przykrą demonstrację i gabinet cały podał się do dymisji a skład nowego, w którym prezyduje Rudini, został przez króla Humberta zatwierdzony, lecz mimo tego spo-

kój nie dał się przywrócić, bo telegramy z opisami ciężkiej klęski pod Aduą rozdrażniają zawsze wrażliwe i gorące umysły włoskie. Cała brygada generała Darbomida poległa na pobojuwisku, a gdy niedobitki broniły się rozpaczliwie wśród cieniów zapadającej nocy, on sam padł przeszyty kilkunastu kulami, a straszne są opisy jak zwycięzcy dobijali i obdzierali rannych, jak strzelano do lekarzy i chorych, bombardowano lazarety.

Lecz odwróćmy się od tych bolesnych obrazów, które przedstawiają nam dzikość człowieka nieuszlachetnionego przez pojęcie cywilizowanego życia. W d. 3 marca Leon XIII skończył 87 rok życia a dzień 4 marca był osiemnąstą rocznicą jego wstąpienia na stolicę apostolską, a jest to dzień uroczysty, w którym Ojciec Święty ukazuje się jedynie podczas nabożeństwa w potrójnej tyarze, wysadzanej drogiemi kamieniami, których blask wielce uroczysto przedstawia się na siwowłosej głowie namiestnika bożego. Tyary papiezske, zwłaszcza z XV i XVI wieku, są wielce kosztowne i w wiekach średnich stanowiły one część skarbu stolicy apostolskiej nieraz zużytkowane na potrzeby kościoła, lub na wiążące się z niemi sprawy.

Papież Kalikst III sprzedał wszystkie drogocenne kamienie z tyar papiezkich na zaspokojenie kosztów wojny krzyżowej, a przedstawiały one sumy ogromne; tyarę Eugeniusza IV szacowano na 30,000 dukatów, co przedstawia dzisiaj blisko dwa miliony lirów, a nie była ona najkosztowniejszą, bo z czasem stawały się one wszystkie coraz to drogocenniejsze. Tyarę Pawła II szacowano na 6 do 8 milionów lirów, była też tak ciężka, że według przypuszczenia lekarzy przyczyniła mu się do wcześniejszej śmierci, ale najkosztowniejszą ze wszystkich była tyara Juliusza II, wartująca 200,000 zł. reńskich co odpowiada dwunastu milionom lirów. Jeden jej rubin kosztował 3,000 florenów, nie była tu przecież pobudką pycha tych, na których głowach jaśniały te blaski kosztowne, ale uszanowanie swego urzędu dusz pasterza. Starcy to byli wszyscy, więc próżność pragnąca blasków migotliwych nie mogła tu oddziaływać.

Bardzo wspaniale obchodzona tu będzie pięćsetletnia rocznica założenia w Pawii klasztoru Kartuzów, a raczej będą to dwie uroczystości każda innego rodzaju. Budowa starożytnego tego gmachu rozpoczęta została w 1396 r., a wznosił ją Galeas Visconti, lecz wykończono ją dopiero w 1542 r., a stanął też gmach wspaniały nie tylko pod względem rzadko spotykanej obszerności; obecnie klasztor został z rozkazu rządu sekularyzowanemu i obrócono go na muzeum sztuki, zwiedzane bezustannie nie tylko przez wszystkich podróżnych, lecz i osoby zajmujące się historią architektury z czasów Odrodzenia. Mieszczą się tu pomiędzy innemi freski Umbrogio Borgognone i dzieło Ludovica le Mare, oraz Beatrycy d'Este. Kartuzi, choć pozbawieni obecnie tej swojej własności odwiecznej, nie zatarli przecież pamięci o niej i z okoliczności pięćsetnego jubileuszu starożytnej ich niegdyś siedziby, którą ubogacili pięknoscią wzniosłą, wydają dzieło w którym obok notat historycznych i spisu dokumentów, mieszczących się w bibliotekach, zawierających będą reprodukcje najglówniejszych pomników sztuki średniowiecznej. Do opracowania tego dzieła przyzwano i świeckich sztukmistrzów, świeckich archeologów.

A jest to jakoby kompensata za krzywdę wyrządzoną narodowi włoskiemu w dziedzinie pamiątek, jakie przeszłość powinna przekazywać przyszłości. Starożytny pałac starożytnego rodu patrycyuszów, Orsinich, został wystawiony na licytację z powodu bankructwa jego właściciela, księcia Witalisa Orsini, potomka długiego szeregu szlachetnych i ojczyźnie włoskiej zasłużonych przodków, między którymi znajduje się trzech papieży: Mikołaj III, zarządający puścizną apostołów między 1277 do 1288 r., Benedykt XIII między 1724 a 1730 r., Klemens XII między 1730 a 1748 r. Obok tego męża z tej krwi wsławił się niejednokrotnie na polu walk i w radzie ojców ojczyzny. Pałac Orsinich w Rzymie w starożytnej jego dzielnicy mieści obok szacownych skarbów sztuki, obok pamiątek przeszłości i wspaniałe srebra rodzinne, jakie nie często widzieć się dają tu nawet, gdzie wieki składały się na to, przekazując je z pokolenia w pokolenie rodowi

patrycyuszów, które nawet w razie zubożenia usiłują nie pozbywać się tej spuścizny, jako świadectwa przeszłości.

A przeszłość ta została pod względem wszelkim niemalą spuścizną skarbów najrozmaitszych. W Kampanii rzymskiej w pobliżu bagnisk pontyńskich, ponuro malowniczych i ztąd zwiedzanych często przez turystów, odnaleziono w przeszłym miesiącu szczątki starożytnej osady rzymskiej, którą archeologowie uznali za zabytek z VII wieku przed Chrystusem. Wiedzano iż istniała tam w czasach przysłoniętych pyłem wieków osada Satrium, nie raz też odzywały się głosy badaczy przeszłości, że należało by odszukać jej szczątków, lecz znaczne koszty jakie to pociągnąć by musiało za sobą stały na przeszkodzie tym chęciom, aż właściciel tych miejscowości, zwanych obecnie Couca, Attylusz Marrolini, postanowił jąć się tego dzieła, w którym hr. Michał Tyszkiewicz przebywający w Rzymie wziął też udział, a poszukiwania prowadzone umiejętnie opłaciły sownie trud poniesiony. Odnaleziono ruiny świątyni bóstwa, zwanego Madra Matuta, a wśród nich mnóstwo przedmiotów stanowiących składane mu ofiary: wazy czarne, kubki gliniane, podobne do znajdujących się w odkopaliśkach ementarzy etruskich, naczynia brązowe, pierścienie, monety, posążki, kilka głów kobiet i mężczyzn, przedstawiających podobizny najpiękniejszych typów archaicznej sztuki greckiej, których wartość podnosi to jeszcze, że znajdują się na nich napisy staroetruskie, których znaczenia do badać się przecież nie można, lecz zapaleni miłośnicy archeologii nie dają za wygraną.

Odnaleziono też resztki muru okalającego Rzym starożytny, etruskie wyroby z gliny, kilka lampek z napisami etruskimi, a jak niewyczerpane są te, w łonie ziemi złożone skarby przeszłości, dość przypomnieć że już w wieku przeszłym poszukiwanie przedmiotów zasypanych pyłem wieków prowadzono bardzo gorliwie. Sławna mozaika, przedstawiająca dwa gołębie, a która obecnie znajduje się w muzeum na Kapitolu, satyr z czerwonego marmuru i mnóstwo innych posągów znaleziono w willi Hadryana, która mieściła się na wielkim górzystym obszarze wśród ogrodów, zasianych posągami.

Za nieszczęśliwych dla Włoch czasów rozkupywali te skarby przeszłości przybysze ze wszystkich stron świata, lecz dodać należy, że i synowie starej Italii nie byli tu obojętni; na początku naszego stulecia bankier Torloni nabył przeszło 700 posągów, między którymi znajdowały się okazy najwspanialszych arcydzieł starożytności sztuki i utworzył przepyszne muzeum. Lecz Rzym stary tracił swoją fizjognomię, nie dającą się porównać z żadnym miastem na kuli ziemskiej, należy jednak dodać, że ma on ją przecież, choć już inną, jak to poświadczy, każdy z cudzoziemców, który się tam znajduje i ogólnie miasta włoskie posiadają cechy sobie tylko właściwe, czego nie zaprzeczy już nikt, kto znajdował się w Bolonii na uroczystości trzydziesto pięcioletniego jubileuszu profesora Jozuego Carducci, który jest obecnie najpopularniejszym poetą w kraju.

Muzyka ma tu zawsze moc panowania nad ludźmi i każda nowa opera przyciąga do teatru setki osób ze sfer rozmaitych. Rogier Leoncavallo jest najulubieńszym kompozytorem publiczności tutejszej a trzyaktowa jego opera „Chatterton“, której libretto tworzy tragedia wzięta z francuskiego pisarza de Vigny, zapędnia od początku bieżącego miesiąca teatr Nationale. Tak muzyka jak i libretto podobały się bardzo publiczności rzymskiej, a są to dzieje nieszczęśliwej miłości angielskiego poety Chattertona, który ubogi i zmuszony przez to do pracy na chleb, bierze jeszcze sobie w pierś miłość dla kobiety zamejnej, żony kwakra, więc zmuszonej wiesz życie posępnie surowe, a która odczuwa teraz gorętsze bicie serca. Ale nie ma dla obojga żadnej drogi wyjścia, która by wiodła do szczęścia, więc młodzieńiec się zabija, a ukochana jego umiera, dręczona wyrzutami sumienia.

Znawcy a zarazem i publiczność rzymska przyznaje operze Leoncavallo wielkie zalety. Już akt pierwszy, który się rozpoczyna chórem robotników zajął słuchaczy, lecz podobało się jeszcze więcej intermezzo drugiego aktu: symfonia, w którą kompozytor wcielił cierpienia, marzenia, tęsknoty miłości bez nadziei. Rzecz skomponowana była przed

„Pajacami“, autor był wtedy studentem uniwersytetu Bolonii, wydawca dał mu zaraz 300 lirów na zadatek, lecz opera spoczywała w tece młodzieńca, gdy przecież stworzył następnie dwie opery „Medycyusze“ i „Pajacowie“, gdy je uwieńczyło powodzenie, wtedy wydawca upomniał się o dzieło zamówione, lecz Leoncavallo wahał się, czuł pewien brak zaufania do młodzieńczego swego utworu, ale spostrzegł czytając, że gra tu uczucie gorące, że jest tu wielony ideał pierwszej jego miłości i zdecydował się wystawić operę na scenie bolońskiej, a świeżość motywów i siła młodzieńczego zapału tak silnie podbiła publiczność, że wkrótce zażądano jej do teatru rzymskiego, gdzie wystawiane są jedynie utwory pierwszorzędných kompozytorów.

Przecież po nad tem wszystkim, co tu nazwać można zajęciem się włoskiego ogółu, góruje zawsze to, co łączy się ze starożytnymi gmachami Rzymu. Gdy w zeszłym miesiącu wielka bania, stercząca po nad kopułą katedry S-go Piotra została założoną rusztowaniem z powodu naprawy piorunochronu, miasto całe uczuło się tak zaniepokojonem, jak gdyby był to dom rodzinny każdego z mieszkańców i musiano ogłaszać rzecz przez dzienniki, oraz z kazałnicy kościołów, aby tłumy nie cisnęły się na plac przedkościelny, tamując komunikację. Bazylika watykańska ma przecież rzeszę całą pilnujących ją specjalistów, a robotnicy których by w razie potrzeby użyć trzeba było, *Sanpietrini*, jak lud ich nazywa, zostają pod nadzorem kongregacji fabryki S-go Piotra. Kardynał Rampollo stoi tu na czele zarządu jako proboszcz Watykanu, mając danyh sobie do pomocy sześciu kardynałów a straż bezpieczeństwa obchodzi co dzień przed zamknięciem świątyni wszystkie jej części, poczynając od nawy głównej. Ze gmach starożytny jest ogromny a zarazem wymaga czulej baczości w obec działania nań wieków, koszt utrzymania wynoszą 300,000 lirów, lecz kto tu wkroczy, dozna wrażenia, jak gdyby stał u wrót niebios.

August

Z Wiednia.

Wiedeń, 10 marca.

Już to chyba na całym świecie nie znajdzie aury, podobniejszej do kapryśnej zalotnicy, nad wiedeńską; w jednym dniu potrafi ona zmienić kilkakrotnie swe usposobienie i obdarza promiennym uśmiechem słońca, gniewną gradową burzą, potokiem ulewego deszczu, albo tumanem śnieżnej, mroźnej zadyмки. Taki stan rzeczy mamy w naszej naddunajskiej stolicy, a i z kraju całego mniej więcej podobne dochodzą wiadomości, spotęgowane biobowemi wieściami o olbrzymich wylewach rzek, pustoszących Wyższą—Austrię, o katastrofach kolejowych, zaspach górskich lawin i śnieżycach. Nie dosć tego: mieliśmy nawet śnieg różnokolorowy, o pochodzeniu którego krążyły różne przypuszczenia, ostatecznie do tej chwili jeszcze nie rozstrzygnięte.

Pomimo tych atmosferycznych katastrof, post nam schodzi jednak wesoło. Przyczyna tak wesołego nastroju leży zapewne w samym usposobieniu wiedeńczyków, chociaż również można jej szukać w nastroju sfer wyższych, w których panuje obecnie jakiś prąd ożywczy.

Spotkanie się cesarza z królową angielską i z prezydentem Faure'm w Nicei, pobyt hr. Gołuchowskiego w Berlinie, uświęcony wspaniałymi przyjęciami doniołego znaczenia, —gdyż od niego poczęści zawisło nowe ułożenie się Włoch do trojprzymierza,—podniosło temperaturę urzędową, a ta znów odbiła się na ogólnym usposobieniu tutejszych mieszkańców. Jedynie wybory do rady miejskiej psuły harmonię ogólnej wesołości swemi burzliwymi scenami—tak są złożone z niespokojnych żywiołów różnych stronnictw. Tymczasem zaś uniesieni ogólnym weselszym prądem, śpieszą wiedeńczycy tłumnie na wszelkie widowiska, a szczególnie teatrowi, koncertom i odczytom się oddają.

Żeby opisać kolejno różne sceniczne nowości, musiałbym wyczerpać do dna cierpliwość czytelnika i jeszczebym nie streścił wszystkiego, co w ostatnich czasach wystawione tu zostało; poprzestam więc na zaznaczeniu jedynie tych nowości, które ukazały się od kilku tygodni i są godne bliższego poznania choć w formie pobieżnego szkicu, jak na zwykłą korespondencję przystało.

Zaczynam od nadwornego Burgu, który oddał należyty hołd ludowemu pocięciu Antzengruberowi wystawieniem jego trzyaktowej sztuki „Robak sumienia“. Jest to sztuka dająca prawdziwy obraz, z życia ludu, wystawiona należyście i świetnie odegrana, przemawia do najwybredniejszego smaku. Została też zrozumianą i właściwie ocenioną przez zwykłą publiczność Burgu, nieprzywykłą do tego rodzaju widowisk.

Przedstawienie to dowiodło, najwymowniej, jak błędem jest zdanie, jakoby sztuki ludowe nie nadawały się na wielkie sceny, do jakiego stopnia jest poprostu przesadą, że publiczność o wykwintniejszym smaku nigdy w sztuce ludowej nie zagustuje, nie pozna się nawet na jej prawdziwych zaletach. Ale do takiego tryumfu sztuki ludowej w Burgu, trzeba było naturalnie dobrej sztuki Antzengrubera, znakomitego wystudyjowania i oddania z najsubtelniejszymi odcieniami ducha sztuki przez znakomitych aktorów, którzy — zdaje się — tak nawykli do znakomitej wzorowej gry, że nawet o zakład nie potrafiliby nie źle odtworzyć.

Deutsches Volkstheater wystawił w tych dniach sztukę Schöntana „Circusleute“. Treść blaha, grzeszy przesadą: sceny poważne są mgliste, banalne; sytuacje komiczne—wierutna farsa. Arystokratka z krwi i kości przekonywa się o wielkich zaletach moralnych córki linoskoka i przyjmuje ją za synowę. Ze kłowny i linoskoki mają serce i uczciwość—oto sens moralny sztuki. Najciekawszą jej stroną jest barwne i udatne przedstawienie zakulisowego życia wesołej gromadki owych „Circusleute“; dobry humor, brak troski o jutro, cyganeria obok prawdziwej nędzy—oto szczegóły, które w barwnym świetle wykonania i efektów scenicznych zapewniają sztuce stałe powodzenie, a publiczność zwłaszcza świąteczną wprowadzają w nieklamany zachwyt.

W An der Wien wystawiono operetkę „Meister Menelaus“, odwieczną historię niefortunnego małżonka, zresztą wyprowadzanego w pole, na tle wesołych pomysłów i godnych farsy komicznych sytuacji, obok pieprzu w słowach i ruchach, zapewnia powodzenie tej zabawnej sztuce, pełnej życia i pustoty. Kto jest ojcem tego dzieła — niewiadomo (więc znów historia à la Menelaus), bo podobno jest to rzecz napisana ongi przez Labiche'a, a autorem jej ogłasza się hr. Meysenburg, który zlokalizował ją z jakiejś węgierskiej przeróbki; do zespecowanego metamorfozami libretta dorobił muzykę Bayer, kompozytor baletów dworskiej opery —i gotowa operetka tłusto—pieprzna z bardzo przyjemną muzyką, pełna walców i hałasu. Czy to wreszcie tak wiele potrzeba do śmiechu i zajęcia czasu zawsze wesołym wiedeńczykom? Toć te tłumy ludu, snujące się po placach, „strassach“ i „gassach“ mają jak owi „Circusleute“ zawsze dobrą, zadowoloną minę, jakgdyby im życie szło tylko po różach.

Również z francuskiego gruntu przeszczepioną farsę wystawił w tych dniach teatr na Josefście, z tą tylko różnicą, że nie tai właściwego jej autora. Jest nią „Parfum“ Blum — Toché'a, zatytułowany dla wiedeńczyków: „W pawilonie“. Sztuka ta w Paryżu robiła furorę; gdy ją niedawno grała w Wiedniu Judie ze swoją konstelacją—wszelkie zbyt wyciągnięte sytuacje i zwroty prześlizgały się zgrabnie i całość wydawała się udatną, zajmującą, a w każdym razie prawdziwie wesołą. Obecnie zaś wykonana po niemiecku—może to właściwość języka—stała się w wielu miejscach nie do zniesienia pieprzną, graniczącą z cynizmem, niesmaczną.

Teatr Rajmunda niedawno wystawił, aż trzy premjery trzech głośnych autorów. Wszystkie trzy wystawiono jednego dnia. „Ullranda“ Carmen-Silvy, królowej rumuńskiej—jest to przedewszystkiem opera bez muzyki; patos, deklamacje bohaterkie staroklasyczne zacięcie, mówiące gromadą chóry rycerzów i dziewic, niezręczny układ sceniczny—wszystko to pomimo wysiłków personelu teatralnego doznało zupełnego fiasco (nawiasem mówiąc zupełnie słusznego). Gdyby nie głośne imię autorki,

sztuka ta przewędrowałaby kosze wszelakich dyrekcyj teatralnych i pewnie nigdy nie obciążałaby pamięci aktorów.

Pawła Heyssego „Ehreshulden“ jest wytwornym jednoaktowym dramatem. Choć osią akcyjną jest kobieta, niema jednak w sztuce postaci kobiecej. Oficer uwodzi żonę serdecznego przyjaciela swego ojca. Stosunek zaś pomiędzy mężczyznami jest tak zażyły, że oszukiwany stary mąż płaci nawet długi młodemu oficerowi. Gdy mąż zjawia się u niego z listem anonimowym, odsłaniającym prawdę, oficer zapewnia słowem honoru, że nie podobnego nie istnieje, a po walce wewnętrznej odbiera sobie życie, ponieważ splamił honor, kłamiąc przed starym. Tyłko to kłamstwo za winę sobie poczytuje...

To druga sztuka.

A trzecią tego samego wieczoru było „Cudowne dziecko“ Fuldy. Wielka farsa: niezwykle zamęt w domu, piekło w rodzinie z powodu dziecka w pieluchach i mamki. Śmiano się dobrze, ale wychodzący z teatru utrzymywali, że nawet jako jednoaktówka sztuka jest zbyt długa. Rzecz dobra, jako pojedyncza scena czegoś większego.

Tenże teatr Rajmunda wystawił przed paroma dniami farsę Costy p. t. „Medal piękności.“ Wiedeńscy mają wiele uciechy, widząc siebie na scenie w bardzo udatnych obrazkach wytrawnego autora. Żona cukiernika otrzymała na Kahlenbergu jako „medal piękności“ zegarek, który jej zaraz kradną. Przewróciło to kobiecie w głowie, i mąż ma z nią wielkie utrapienie, pomimo że odznaczenie żony pochlebia mu: doprowadza też męża do nędzy; żyjąc nad możność, zdradza go wreszcie. Cukiernik wyjeżdża z Wiednia za interesami, tymczasem Dunaj wyrzuca jakieś zwłoki, w których go poznają. Wielki zamęt: karykatura wiedeńskiego pogrzebu, kulminacyjny punkt sztuki, tembardziej że na pogrzebie własnym znalazł się cukiernik. Humoru, wrzawy dużo, więc braku utworu zdolnego autora maleją, a przynajmniej życzliwa mu ze względu na lepszą przeszłość krytyka teatralna pokrywa widoczne usterki milczeniem.

Oprócz powodzi rozmaitych koncertów, pomiędzy którymi wyróżniał się koncert Hubermana, zasługuje na uwagę kilka odczytów.

W sprawie kobiet zabierał głos dr. Frey w ogólnym towarzystwie kobiecym. Na wstępie mówca zaznaczył, że ścisłe rozgraniczenie zajęć i specjalności męskich i kobiecych upaść musi: warunki społeczne zmuszają kobietę do samodzielnego myślenia o sobie, do wywalczania sobie niezależnego stanowiska. Że zaś jest z natury cierpliwa, ambitna, z rozwijaniem przez wychowanie pojęciem o obowiązku—więc prędzej czy później przekroczy te granice, które tak ścisłe oddzielają zajęcia kobiety od zajęć mężczyzny. Ale ta przegroda o tyle tylko będzie w przyszłości zatarta, o ile nie stoją temu na przeszkodzie przyczyny zależne od cielesnej lub duchowej organizacji. Kobiety nigdy nie będą zdolne do służby wojskowej, mężczyźni nigdy nie nadadzą się do pielęgnowania chorych. Do tej właśnie ostatniej roli społecznej, wymagającej liście, miłosierdzia, cierpliwości, drobiazgowości w spełnianiu mozolnego obowiązku — nadają się jedynie i wyłącznie kobiety. Chorzy znajdujący się po szpitalach opieki tej nie mają, bo personel szpitalny nawet kobiecy jest źle zorganizowany; dla oszczędności werbuje się z osobników, które bez odpowiedniego przygotowania i poczucia moralnej strony swego zajęcia, traktują je jedynie jako dochód z krzywdy chorych, w braku lepszego kawałka chleba; o rozumieniu tego zajęcia jako powołania nie ma mowy. Otóż aby to złe usunąć dr. Frey gorąco poleca uważać słuchaczek myśl popierania szkoły samarytanek, któreby w charakterze opiekunek do szpitalów i w ogóle do chorych w Austrii wprowadziła lepsze żywioły kobiece. Stowarzyszenia takie istnieją już w Anglii i w Niemczech, zapewniając prawdziwą opiekę chorym po szpitalach i w domach prywatnych. Czemużby to nie dało się wprowadzić w czyn w Austrii?

Prof. Benedikt, znany lekarz chorób nerwowych w Wiedniu, wypowiada tę samą myśl w swym jubileuszowym dziele „das Seelenleben“, wspartą na badaniu duchowej organizacji kobiety, zależnej od przewagi wpływów uczuciowych.

W Towarzystwie literackim kilka tygodni temu był odczyt Fuldy, znanego z dobrego recytowania własnych utworów. Tym razem wygłosił kilka poematów satyrycznych i weale zajmującą jednoaktówkę. Zwrócił moją uwagę jeden z recytowanych fragmentów, którego treść przytaczam, jako swego rodzaju curiosum: według nowej generacji poetów, których trawi nędza i rozgoryczenie, dopiero wtedy będzie dobrze na świecie, gdy ludzie śmiać się przestaną i zapomną. Wesołość, humor, dowcip — to objaw rozkładowy, to choroba wieku, to cierpienie społeczeństw, chylących się do upadku. Kto więc ludziom humoru życzy, a co gorzej sam go posiada—to niebezpieczny, szkodliwy człowiek.

Program węgierskiej wystawy w Peszcie z powodu tysiąclecia zapowiada się świetnie i dzienniki tutejsze pełne są coraz nowych szczegółów wielkich przygotowań. Dla widowisk i rozmaitych popisów sportowych wznoszą osobny amfiteatralny cyrk z trybunami i z olbrzymią areną. Amfiteatr ma mieścić 10,000 osób. Ma być zwrócona szczególna uwaga na wielkie popisy muzyczne i śpiewacze. Na dzień otwarcia wystawy przygotowuje się chór, złożony z tysiąca śpiewaków.

Zarząd peszteński stara się uprzystępnąć publiczności zwiedzanie wystawy. Uzyskano już prawie od wszystkich dyrekcji kolejowych znaczne obniżenie cen biletów osobowych, wydawanych na przeciąg miesiąca. Hotele zobowiązały się nie podnosić swoich zwykłych cen, tak samo i prywatne chambrs garnies; ma być nawet znaczna ilość pokoi po pięćdziesiąt centów za dobę. Przygotowano dalej wielką liczbę umundurowanych przewodników, znających obce języki; nie zapomniano też o jadłach, napojach, rozrywkach i lokomocyi—słowem uczyniono wszystko, co tylko może przyczynić się do uprzyjemnienia i ułatwienia cudzoziemcom pobytu w węgierskiej stolicy.

Z Pesztu też nadeszła przed paroma tygodniami wiadomość o stanowczym wynalezieniu przyrządu sterowniczego balonów. Wynalazca Węgier, Janosz Miessner, ma wkrótce urządzić podróże w nowo wynalezionym nadpowietrznym statku. Tymczasem wiadomo, że francuzi i prusacy doszli już od lat kilku do pomyślnych rezultatów na tem polu, tylko że jedni i drudzy umyślnie o tem milczą.

Z dziedziny wynalazków zajmują się tu gorąco Roentgenowskim światłem. Uczni, zacierając z radości ręce, robią bezustanne doświadczenia i oświadczają zarazem, że już przed Roentgenem wiadano c nowem światłem, tylko że nie starano się zapoznać z niem szerszego koła myślicy. Bagatela! I to ma się nazywać usprawiedliwieniem dziwnej obojętności w popularyzowaniu wiedzy względem społeczeństwa!

I czeski i węgierski jakiś fizyk już przed laty kilkoma manewrował z tajemniczymi promieniami. Nie można powiedzieć, aby nowe odkrycie zamykali przed ludźmi; owszem nawet pokazywali je wybranym i pisali o tem uczone referaty do uczonych stowarzyszeń. Ale co z tego? W tajemniczeni w nieznane tajniki promieni katodycznych dziwili się mocno i kiwali głowami; cierpliwy papier znosił wszelkie opisy spostrzeżeń, wyliczeń i wniosków, a świat o tem nie wiedział zupełnie. Nie mówię już o tak zwanych szerokich kołach publiczności, ale dopiero teraz wyszła na jaw rzecz cała przed gronami ludzi nauki, przed fizykami, kiedy prasa nadała sprawie odpowiedni rozgłos. Nie wiedział o tych poprzednikach swoich i sam Roentgen—więc zasługi jego nie zmniejsza, my zaś, zwykli śmiertelnicy, mamy dowód jak ludzie nauki czytają o postępach nawet w swojej specjalności, skoro po kilka razy to samo wykrywać potrafią, zupełnie nie wiedząc o tem, co się pisze i z katedry wypowiada o kilkadziesiąt mil od nich.

Oswald.

SORRENTO.

Kiedy wczesną wiosną, statek, płynący od strony Neapolu, przybija do cudnych wybrzeży Sorrento, podróżnych zdala już uderza słodki, odurzający zapach, którym powietrze szeroko wokoło jest prześycone. Wonne to technienie jest jakoby powitaniem, a zarazem nęcącym zaproszeniem, jakie cytrynowe i pomarańczowe gaje uroczej miejscowości ślą naprzeciw przybywającym.

Bulwer nazwał wybrzeża Neapolitańskiej zatoki: „Włochami Włoch“ i rzeczywiście, mieszkanię północy tu dopiero odczuwa w pełni cały urok i wszystkie ponęty południa.

Trudno byłoby orzec, co piękniejszy przedstawia widok, czy Sorrento, podziwiane ze statku, od strony morza, czy też od strony lądu, z dróg schodzących coraz niżej pośród owych wonnych gajów.

Przepluwając na statku szafirową zatokę pozostawia po za sobą przepiękny Neapol z jego amfiteatrem domów, wieżyczek, kopuł i zamków. Po lewej stronie wznosi się czarna piramida Wezuwiusza, chmurkami dymu otulona i nad samym brzegiem, na tle gór ciemnych, ciągną się, jak sznur białych pereł, wesołe, pełne życia miejscowości. Portici, Resina, zbudowana na zgłiszczach zasypianego Herkulanum, —Torre del Greco, miasto koralu i makaronu, —Torre Annunziata, —wreszcie potężnymi drzewami kasztanów osłonięte Castellamare. Po prawej, niewyraźne zarysy Capri, zdaleka rysujące się na morzu jakby jakiś sfinks tajemniczy.

Parowy statek zatrzymuje się w pewnej odległości od brzegu i w jednej chwili otoczony jest przez czółna, z których zgiełkliwie wyrzucane zostają nazwy hotelów i tak dziś wszędzie przyjętych „pension“, i podróżni schodzą do czółen po składanych schodkach, zarzucanych zręcznie na pokład statku.

Czółna dobijają do szerokich, wygodnych, kamiennych schodów, niektóre zaś wprost do wąskich, mniej okazałych, specjalnie przez ten, lub ów z hotelów zbudowanych, i schodzących wprost do samej zatoki. Nowy wielki hotel Victoria urządził nawet własnym kosztem ciągnioną kolejkę, która gości na 50-cio metrową wysokość winduje.

Podróżny, który obiera lądową drogę, wysiada z kolei żelaznej w Castellamare i przebywa najpiękniejszy zaiste pas ziemi, jaki istnieje we Włoszech. Omal ciągle przy samem morzu gościniec wiję się po falowatym gruncie, pomiędzy bogatą, cudną jak w bajce, roślinnością, przerywaną malowniczymi ruinami przedwiekowych zabytków, lub też nowo pobudowanymi zameczkami, kaplicami i poważnymi murami klasztorów. Na każdym kroku nowe widoki i niespodzianki. Aż nareszcie dochodzimy do niezmierzonych okiem pomarańczowych i cytrynowych lasów Sorrento, rozsyłających w około ową woń upajającą. Lasy te, gdzie nigdzie urozmaicone szaro srebrzystymi gajami drzew oliwnych, —to znów jaskrawym bukietem granatów, lub szerokolistną, obciążoną owocem figą, pnące się wysoko pod górę, to znów nisko schodzące ku morzu, nieporównanie piękny przedstawiają widok.

Sorrento, w starożytności znane już było ze swego łagodnego klimatu i wybornych kąpiel morskich i było ulubionem miejscem pobytu możnych patrycyuszów rzymskich. Ruiny, gęsto zaścienające wybrzeże, datują z czasów Augusta. Sorrento, ojezyzna Tassa, jest najwykwintniejszą miejscowością kąpielową Neapolitańskiej arystokracji, która tu pobudowała moc pięknych jak marzenie willi.

Trudno pojąć jak w obec tak rozkosznej natury, z taką rozrzutnością rozsypującej swe bogactwa, mogła w głowie człowieka wykształconego powstać tak ohydna zbrodnia, jak owo niedawne zepchnięcie w morze nieletniego pasierba, przez markiza de Naye.

Zdaje się, że piękno natury powinno przemawiać do duszy ludzkiej łagodząco, uszlachetniać ją i podnosić, tłumić w niej złe instynkty i niezmierzoną wspaniałością swoją unosić ponad znikome, marne słabości.

Ojezyzna Tassa nosi nazwę—„Sorrento, la gentile“ i zapewne trudnoby właściwszą dla niej dobrać.

Sorrento liczy zaledwie osiem tysięcy stałych mieszkańców, mieści wszakże nader piękną rezydencję biskupa i ze swemi hotelami, kilkoma szerokimi ulicami i szeregiem strojnych sklepów, przepelnionych wyrobami miejscowego przemysłu, czyni weale okazałe wrażenie.

Co prawda, jak wszędzie we Włoszech, tak i tu nie brak ciasnych, ciemnych, nędznych i brudnych zaułków i uliczek.

Głównym przemysłem Sorrento, prócz hodowli pomarańczy i cytryn, któremi ładują tu ogromne angielskie i amerykańskie parowce, oraz hodowli oliwek i winogron, stanowi snycerstwo i inkrustacja. Licznych zajmujących robotników fabryki, jak: Gargiulio, Grandville, Miccio, prowadzą szeroko rozgałęziony handel inkrustowanymi meblami.

Drewniana Sorrentyńska mozaika znana jest chyba wszędzie. Zaczawszy od najdrobniejszych przedmiotów, jak wachlarze, skrzyneczki, tace, podstawki i t. d., skończywszy na kosztownych wielce, olbrzymich szafach i całkowitych umeblowaniach, składy tamtejsze przepełnione są tym charakterystycznym, pięknym towarem.

Nie należy też zapominać o jedwabnych tkaninach z Sorrento, które jeszcze od rzymskich czasów cieszą się we Włoszech ustaloną sławą.

Podczas niedawno obchodzonej uroczystości Tassa, Sorrento, urządzając miejscową wystawę, iluminacje świetne, regaty, kwiatowe corso, etc., wykazało całe bogactwo swoje. To, które samej naturze zawdzięcza, jak również to, które swym przemysłem zdobyło.

Pomnik Tassa wzniesiony jest na „piazza“ t. j. placu, który w Sorrento, jak wszędzie w mniejszych miastach włoskich stanowi główne środowisko miejscowego ruchu i życia. Tu znajduje się klub czy resursa, tu wieczorem, w kawiarniach jasno oświetlonych, zbierają się najznacniejsi i najzamożniejsi mieszkańcy, tu kupcy a właściwie handlarze roznoszą i najgłośniej zachwalają swoje towary, zajmujący się wynajmowaniem osłów natarczywie obiegają każdego „forestieri“ i tu także wałęsają się bandy gapiących się próżniaków.

Pomnik Tassa nie odznacza się niczem szczególnem, prócz tegoż, nie już prawie nie przypomina tu przyjsia na świat wielkiego poety. Dom, w którym się urodził, wraz ze skałą, na której był zbudowany, zapadł się w morze—i tylko na ulicy San Nicolo pokazują jeszcze pałac Sersale, który niegdyś był podobno domem siostry poety, Kornelii—i gdzie na trzy lata przed śmiercią, złożony chorobą autor „Wyzwolonej Jerozolimy“ znalazł przytułek.

Osobliwością w Sorrento są dwa olbrzymie parowce, niby przepaście, utworzone pomiędzy wysokimi górami i schodzące aż do samego morza i wypełnione nadzwyczaj bujną, prześliczną roślinnością.

Ponad obydwojoma onemi parowcami zbudowano mosty, z których cudowny rozpościera się widok.

Wycieczki na morzu, pomiędzy piętrzącymi się fantastycznie, dzikimi skałami, są nieporównanie uroczyste.

Klimat w Sorrento zimą, przeważnie bywa wilgotny i podobno mniej zdrowy, to też w tej porze Sorrento mało jest przez obcych nawiedzane. Natomiast wczesną wiosną i jesienią literalnie następuje tu przeludnienie.

Dla Włochów, lato w Sorrento uchodzi za chłodne, ponieważ miejscowość ta odkryta jest od strony północnej,—dla mieszkańców jednak za Alpami położonych krajów, nużąca jest temperatura, która i tu do zwykłej we Włoszech wysokości dosięga. Trzeba być Włochem, żeby umieć przywyknąć do życia, jakie tutaj po większej części wszysej, podczas letnich upałów, pędzą. Sypiają przeważnie od 12-jej w południe do 5-jej, (nawet sklepy i fabryki są w tych godzinach zamknięte), do późnej nocy jedni pracują, drudzy zaś wałęsają się, lub przesiadują nad chłodzącym napojem czy sorbetem w kawiarniach.

W rannych godzinach spieszą do kąpieli, około południa powracają do domu i znowu dzień w noc przemieniają.

Wycieczki powozem lub statkiem odbywają się najczęściej od godziny 5-jej po południu.

Jednym z najpiękniejszych spacerów statkiem jest zwiedzanie rozlicznych grot, jakie przez wieki w skałach się potworzyły, a którym lud tutejszy

poetyczne nadawał nazwy, jak np. kąpiel Dyanu,—dzwon olbrzyma,—przejście Syreny i t. p.

Nie są one może tak wspaniałe jak sławna: „niebieska grot“ na Capri i nie posiadają tej intensywnie szafirowej barwy, która tam tak szczególny wywołuje efekt, niemniej, wjechawszy pomiędzy te skaliste urwiska, tonące w lazuruwej głębi, silnego także doznaje się wrażenia. Podczas jasnej księżycowej nocy, nie potrzeba nawet rozbudanej wyobraźni, żeby skały te mitycznymi postaciami bóstw wodnych zaludnić. Krąży tu po dziś dzień legenda, że cesarz Tyberiusz zasiada w taką noc jasną na jednej ze skał, na której istotnie są jakby ręką ludzką wykute olbrzymie schody, i przygląda się kąpiącym się heterom.

Nader poetycznym i malowniczym zakątkiem jest także Capo di Sorrente, na północ oblane zatoką, na południe mające za sobą Punta di Scutolo.

Czy statkiem przybiwszy do brzegu, czy schodząc tu stromym gościńcem, każdy, kto pierwszy raz Capo di Sorrente ogląda, jest pod wrażeniem, jakby się dostał do jakiejś bajecznej krainy.

Ostro zakończony kawał lądu daleko wysuwa się w morze, które z szumem oblewa zębate skały i wspaniałe ruiny starorzyskich murów. Zwaliska te pokrywają całą pochyłość lądu, bujna roślinność wyszrzela z pomiędzy gruzów i ozłocona promieniami zachodzącego słońca ożywia martwe kamienie i obleka je smętnym urokiem. Tu stały przed wiekami wille rzymskich magnatów, wśród innych, pałac Felixa Polliusza, którego bogactwa i zbytki opiewają starożytni poeci i od imienia którego niedaleko stąd położona rybacka osada, nosi miano „Marina di Puollo.“

Ze wszystkich dróg, w okolicy Sorrento, najbardziej ożywioną jest droga do Massa, a właściwie Massa Lubrense, jak miejscowość tę dla odróżnienia od wielu innych, noszących też sama nazwę, tutaj zowią. W sezonie kąpielowym codziennie po zachodzie słońca odbywa się tu prawdziwe Corso. Rojno i tłumno jest tu od powozów, jeźdźców konnych i pieszych spacerowiczów. Droga ta jest przedłużeniem gościńca, prowadzącego od południa do Sorrento i jest równie jak ten, malowniczą.

Dzieli się na drogę, prowadzącą wprost do Massa—i drugą,—pnącą się wysoko na Capo di Monte, z kąd widać doskonale całe Sorrento i wszystkie do niego przylegające cuda.

Jadąc dalej tą samą drogą, przy zakręcie około Villazano, odkrywa się wspaniały widok na skaliste wybrzeże Capri, dalej mija się sławne Sorrentyńskie sosny—(vallata delle pigne)—i wjeżdża pod górę do starego zamczyska, Santa Maria, z kąd już widać wesołe Massa. Z Massa, wązkimi drogami, stromo ku morzu pochyłonemi, dostaje się przez Terminus do Punta Campanella. Jestto znany w starożytności, bogaty w podania mitologiczne „przylądek Minerwy“,—będący jakoby zakończeniem Sorrentyńskiego półwyspu i zatoki Neapolitańskiej, albowiem ztąd poczyną się już zatoka Salerno. Na owym przylądku stała podobno niegdyś świątynia bogini Pallas, której wzniesienie przypisują Odysseuszowi.

Gruzy i ślady wspaniałych murów, jakich tu nie brakuje, bezsprzecznie pamiętają przedwiekową historię.

W wiekach średnich zbudowano tu, jak i w wielu miejscach nad brzegami morza, potężną, wysoką wieżę ku obronie przeciw najeżdżającym Saracenom. Nazwa „Campanella“ wyraźnie dowodzi, że z wieżycy tej, rozlegały się ostrzegające sygnały przy zbliżaniu się śmiałych rozbójników morskich.

Z Massa, po gościńcu, pnącym się pod górą pomiędzy winnicami i oliwnymi drzewami, dochodzi się do ukrytej w cieniu kasztanów miejscowości,—Sant'Agata, będącej dziś najulubieńszym i najbardziej szukanym letnim pobytom Włochów.

O dwadzieścia minut wyżej leży Deserto i aczkolwiek droga nie jest zbyt wygodną, trudno jest podróżnikom nie zwiedzić ciekawych murów odwiecznego klasztoru, zamienionych dziś na przytułek dla biednych sierot, gdzie kilku pobożnych bractw nauka i ma dla siebie od świata odsunięte schronienie. Wyszedszy na płaski dach klasztoru, widać równie dobrze jak z Capo di Monte cały Sorrentyński półwysp, oblany niebieskimi wodami zatoki Neapolitańskiej i Salerno. W zatoce Salerno wyraźnie widnieją nagie skały, zwane „i galli“

w Neapolitańskiej Capri, — dalej Ischia i Procida, czasami we mgle rysują się wyspy Ponsa.

Całe to wybrzeże, od Gaëta aż do Punta Campanella i ten przedziwny amfiteatr Neapolu, i leżąca przed nim wysępka Nisita, i szereg miejscowości, ciągnących się od stóp Wezuwiusza, wszystko to razem, tworzy istotnie bajecznie piękne półkole.

Niepodobieństwem byłoby wyliczyć wszystkie godne trudu wycieczki w okolicach Sorrento i wszystkie wzniesione punkta, z których nie można dosyć nacieszyć się widokiem. Nie należy jednak pominąć starożytnego klasztoru Camaldoli di Meta, z jego przepysznym cieniastym ogrodem i prześlicznie położonego Giardino publico.

Sorrento uroczem jest w każdej porze doby. Wczesnym rankiem jest jakby upostaciowaniem pieśni budzącego się życia,—przy schyłku dnia, poważnym, świętym hymnem. Cudny, niezapomniany widzi się tu zachód słońca. Ognista tarcza zasuwa się zwolna za Monte Epomeo na Ischii, rozpościera wokół czerwone promienie i przerzuca do Sorrento jakby snop blasków, który rozsiewa się po całym wybrzeżu, złoci dom każdy, każdy wierzchołek skały i szczyty gór dalekich, — morze migocze wszystkimi barwami opala, z oddali zaś, jak straszne, mityczne postacie, czernieją zarysy grot skalistych.

— Zapada noc. Morze drży od przeglądających się w niem miliardów gwiazd srebrzystych, białe mury przy brzegu zdają się zasypiać i nikną pod osłoną szemrzących ogrodów i gajów. Girlanda światła w Neapolu odbija się w wodzie i błyszczy jak rozsypane dyamenty, w ogrodach zaś, w pośród wszelkimi wonnościami przesyconej roślinności, istną iluminację tworzą Ś-to Jańskie robaczki.

Rzekłbyś widzisz raj na ziemi. Z daleka tylko, czarnym okryty płaszczem, Wezuwiusz, od czasu do czasu wyrzuca z siebie kłęb iskier i dymu, jakby tem ognistym teńnieniem chciał ostrzedz rozmarzonych mieszkańców, że niepewną jest przyszłość tych cudów.

Wschodzi księżyc. I znowu zmienia się koloryt i charakter krajobrazu. W białem, zimnem świetle nowy czar spływa na wszystko,—rozlegają się miękkie tony mandoliny i płynie rzewna, ludowa piosenka, którą czasami przerywa dźwięk kastanietów i coraz szybsze nawoływania i tupanie tańczących tarantellę.

O suol beato!

Dove sorridere

Vuol il creato...

Trudno rozstawać się z Sorrento!

Z. S.

Kronika działalności kobiecej.

— Przepisy dotyczące organizacji petersburskiego instytutu medycznego dla kobiet, zostały już opracowane przez specjalnie w tym celu działającą komisję. Zapisy słuchaczek będą mieć miejsce w roku szkolnym 1896 na 1897; pierwszy ich komplet ograniczonym został do 125 osób, między którymi pierwsze miejsce mieć będą te z pośród kandydatek, które ukończyły kurs nauk na oddziałach: historyczno filologicznym i fizyczno matematycznym wyższych kursów żeńskich w Petersburgu.

— Prezes Warszawskiego Tow. Dobroczynności, ks. Michał Radziwiłł otrzymał podanie od grona pań oddających się dziełom miłosierdzia, iż zamierzają wytworzyć instytucję pod nazwą Towarzystwa opieki nad choremi umysłowo i nerwowo. Na pierwszym posiedzeniu założycielek tego Towarzystwa, oraz osób zaproszonych do udziału w naradach nad stroną formalną i administracyjną przedsięwzięcia, ułożona będzie lista członków założycieli.

— Szlachetnie pocziwa sprawa utworzenia w mieście naszym schronienia dla dzieci, których matki zmuszone są pracować dzień cały po za domem, weszła na tor dobry, dzięki p. Maryi z Szymanowskich Olszewskiej, małżonce redaktora „Kurjera Warszawskiego“, która na rzecz pierwszego takiego schro-

nienia złożyła 650 rs., prezesowi wydziału wsparć w Towarzystwie Dobroczynności. Ochrona ta, mogąca pomieścić około 50 dzieci, otworzona będzie d. 15 kwietnia przy ul. Drewnianej pod nadzorem Siostry Miłosierdzia. Dobry przykład oddziały zapewne na panie, pragnące przyłożyć się do tego wielce znaczącego dzieła dobroczynności i działwa ubogich rodziców nietylko psuć się nie będzie przez próżniacze wałęsanie się po ulicach miasta, ale otrzyma pewne umoralniające, oświecające wpływy.

— Na przewodniczącą Kasy wzajemnej pomocy nauczycielek, założonej w 1894 r. z inicjatywy ś. p. Kasyldy Kulikowskiej, powołano na przewodniczącą p. Waleryę Wernka, na wice-prezesową Izabelę Sawicką, na kasyerkę Jadwigę Gebethnerównę, na pomocnicę Maryą Krzycką, na sekretarkę Karolinę Zielińską.

— W dalszym ciągu przedmiotów nadsyłanych na wystawę nasion przysłały p. p. Sobiełkowska z nad Wiśły 46 odmian kartofli i nasiona szpragów, Marya Gąsowska z Domaszniwy wykę, łubin i koniczynę, mąkę żytnią, oraz sery na sposób szwajcarski urządzone, p. Marya Skłodowska ze Skalmierza nasiona rozmaite, suszony rumianek i mięte.

— W Przytułku dla dziewcząt w Puszczy mieści się 16 dziewcząt, kształcących się na gospodynie wiejskie i służące dzięki Towarzystwu osad rolnych.

— Na wystawie nasion p. Zofia Ciszewska z Chobendzy otrzymała medal srebrny za bardzo dobre masło, oraz za ekonomiczne użytkowanie zbieranego mleka.

— W d. 31 ubiegłego miesiąca panie zajmujące się zapisywaniem ubogich i słabowitych dzieci na wyjazd do Ciechocińska, lub na wieś, utworzyły ich listę, obejmującą 2,800 chłopców i dziewczynek. Właścicielka Kawenczyna, p. Władysława Kronenberg ofiarowała gościnę dla 90 dziewczynek.

— W Zawierciu jest dziewcząt, córek robotników kwalifikujących się do szkoły 352, uczęszcza ich tam przecież tylko 137, gdyż szkoła pomieścić ich więcej nie może, nasuwa się też na myśl pytanie czy kobiety klas zamożniejszych, klas inteligentnych, nie mogłyby zaradzić zbiorowo brakowi temu? Ziarno do ziarnka wytwarza miarkę.

— Uczennice krakowskich kursów rysunku i malarstwa w muzeum imienia Baranieckiego wniosły petycją do ministerium oświecenia o przypuszczenie ich na wykłady w szkole sztuk pięknych. Dyrektor Fałat przedstawił projekt ten na sesji i otrzymawszy aprobatę ogólną zamierza poczynić tu pewne zmiany, a pomiędzy nimi tytuł „szkoła,” zamienić na „akademia.”

— W Berlinie urządzone zostały kursa domowego gospodarstwa dla kobiet, obejmujące nietylko zarząd domu, ale i te roboty ręczne, które mają duże znaczenie w ekonomii rodzin. Obok tego daje się tu słuchać ogólnie pojęcia ekonomii społecznej, przez co umysły pojmują to, co jest oszczędnością prawdziwą, która drobnych szczegółów nie pomija, ale nietylko do nich znaczenie gospodarności przywiązuje. Wykłady odbywają się od ósmej do dziesiątej godziny wieczorem, więc wtedy gdy każda niemal gospodyni domu może już swobodnie czasem swoim rozrządzać.

— W Anglii kobiety zostały przypuszczone do inspekcji szkół dziewcząt i szkółek elementarnych, wybierane na ten urząd z pośród nauczycielek zakładów powyżej wspomnianych, a komisja przełożona nad zakładami temi wyraziła zdanie, że kobieta jest już od natury obdarowana zdolnością rozwijania umysłu dziecka i kształcenia go do obowiązków życia. Panie stojące tu na czele: miss Rozalia Mandey i miss Marya Willis, posiadają wyższe wykształcenie naukowe, a obie są jeszcze zupełnie młode co im nie przeszkadza bynajmniej do poważnego zajęcia się obowiązkami swemi. Królowa Wiktoria napisała do obydwóch listy własnoręczne,

winszując im, iż zajęły miejsce, które z natury rzeczy należy do kobiety, bo wychowanie, zwłaszcza pierwsze, dziełem jej być powinno.

— Amerykanka, miss Berton, prezydentka tamtejszego Czerwonego Krzyża, przejeżdżała przez Wiedeń dążąc do Armenii z powodu że jest tam 350,000 ludzi w nędzy, którym pragnie przyjszć pomocą. Liczy już ona sobie lat siedemdziesiąt; wysoka, szczupła, energiczna obok łagodnego wyrazu twarzy, była podczas wojny w 1870 siostrą miłosierdzia, zbierającą z pobojowisk rannych i za jej to sprawą Ameryka przystąpiła do konwencji genewskiej a gdzie tylko ludzie cierpią, gdzie krew się leje, tam ona śpieszy. I dla tego jedzie teraz do Armenii, tłumacząc się że jest tam tak dużo ludzi w nędzy, a ma ona przy sobie czek na pół miliona dolarów, płatny w banku tureckim i choć wie że władze otomańskie będą jej czyniły trudności, nie bączy na nie, bo miłość bliźniego dodaje jej sił i otuchy, a obok tego jest pewną, że w razie potrzeby pieniądze będą jej nadesłane.

— Irlandzkie panie urządziły w Dublinie panoramę, która w każdą niedzielę jest bezpłatnie otwartą dla klas robotniczych a okazuje widzom obrazy ubiegłej przeszłości, którą wskrzesza w jej najświetniejszych objawach. Składki na potrzebny nakład nie są oznaczone i nieraz ktoś wrzuci tu do skarboxy monetę złotą, ktoś miedziak zaśniedział, ale razem wytwarza się suma potrzebna na utrzymanie przedsięwzięcia.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż budowa drogi syberyjskiej posunięta już jest tak, że można ją przebyć bez przerwy aż do Krasnojarska, lecz podróż taka daje się odbyć tylko w zimie w porze tej, gdy lody pokrywają rzeki z ułożonemi na nich szynami zastępując mosty, które zaledwie pod koniec bieżącego stulecia stanąć mogą dla posługi podróży. Budowa drogi od Krasnojarska do Irkucka ma być ukończoną w roku bieżącym i relsy już są ułożone na przestrzeni 350 wiorst; część prac dokonywanych za Bajkałem jest też rozpoczęta; droga nie będzie jednak otwartą wcześniej do użytku publicznego jak w końcu 1898 r.

— Warszawskie Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych ogłosiło sprawozdanie z działalności komitetu i rozwoju tej instytucji w 1895 r., w którym to czasie liczba członków mieściła 5,370 osób, a pomiędzy temi 1,857 rzeczywistych i 3,513 zwyczajnych. W ciągu roku zwiedziło wystawę Towarzystwa 30,241 osób, a to w niedziele i święta 22,424 osób, w dni powszednie 7,818, co dało dochodu 3,805 rs., więc w stosunku do 1894 r., więcej o 656 rs. Na wystawę stałą Towarzystwa przyjęto obrazów olejnych, akwarel, pastel i rzeźb sztuk 801. Dochód czysty za bilety wejścia zużytkowano na dwa ważne cele, a to 665 rs., na powiększenie funduszu budowlanego i 337 na zapomogi dla artystów. Komitet zakupił do rozlosowania między członków dzieł sztuki za sumę 11,731 rs. Za pośrednictwem kancelarii Towarzystwa sprzedano ich za 23,397 rs. Razem sprzedano dzieł pendzla za sumę 35,128 rs. Sprawa budowy gmachu Towarzystwa jest już obecnie stanowiącą postanowioną, wice-prezes p. St. Wydzga upoważnionym został przez komitet do sporządzenia aktu notaryalnego w celu nabycia placu około kościoła ewangelickiego. Plan ostatecznie uzupełniające wykona architekt

Stefan Szyller i z nadejściem wiosny rozpocznie się budowa.

— W pierwszych dniach marca otwartą została w Salonie sztuk pięknych Krywulta w hotelu Europejskim wystawa dzieł Stanisława Masłowskiego, złożona z kilkudziesięciu płócien, oraz obrazów Wacława Szymanowskiego i krajobrazów malarzy szwedzkich, z których kilka znalazło nabywców w Warszawie. Wystawa dzieł nieżyjącego już malarza, K. Siekierza, ściągła licznie publiczność. Wystawa konkursowa rzeźb w Towarzystwie sztuk pięknych była również zwiedzana a obok tego jednym z przedmiotów, który tu szczególnie zajmował miłośników sztuki jest obraz Jana Chełmińskiego przedstawiający przejście gwardyi Napoleona I-go przez Wilią w 1812 r.

— Towarzystwo muzyczne ogłosiło konkurs na skomponowanie poloneza jubileuszowego, który wydał bardzo pożądane plony, bo czternaście partycy orkiestrowych. Ze przecież ocenienie tak znacznej liczby dzieł sztuki wymaga odpowiedniego czasu ogłoszenie wyniku konkursu ulegnie zwłoce.

— Jeden ze znanych kapitalistów naszych przeznaczył 30,000 rs., na tanie wydawnictwo dzieł Henryka Sienkiewicza, których komplet składa się z 12 tomów, a który w wydaniu tem kosztować będzie 3 rs. Jestto czyn prawdziwie szlachetny, bo uczyni on dostępnem czytanie rzeczy pięknych, które podnoszą nam ducha w piersi a obok tego kształcąc smak dobry nie dopuszczają do czytania książek lichych, źle oddziaływających na wyobraźnię czytelników, zwłaszcza młodych, nie znających życia.

— W gronie członków resursy obywatelskiej wśród narad nad uzupełnieniem biblioteki powzięto postanowienie przesyłania gazet przeczytanych chorem do szpitali, a nazwać to można szlachetnie pocziwym aktem miłości bliźniego, bo ileż to chwil smutnie przykrych umiłonych być może biednym ludziom cierpiącym.

— W d. 3 marca przypadła dwudziestopięcioletnia rocznica założenia Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, instytucji bardzo pożytecznej, będącej jednym z poważnych objawów samo pomocy społecznej. Pierwszą myśl jej założenia powzięło dwóch zaenych filantropów, nieżyjącego już Józefa Wiczorkowskiego, oraz księcia Tadeusza Lubomirskiego.

— Dla uczczenia pamięci szlachetnego pedagoga i filantropa z sercem zawsze pełnym miłości ludzi, Stanisława Jachowicza, obchodzone ma być w setną rocznicę jego urodzin w d. 17 kwietnia nabożeństwo za jego duszę, lecz należy tu jeszcze dodać i pamiątkę jakąś trwalszą, a będzie to wydanie taniej książki, zawierającej wybór jego najcenniejszych bajek, choć wszystkie są pełne szlachetnej myśli, związanej z wyrazem niewymownie wdzięcznej prostoty. Obok tego pewne kółko członków Towarzystwa dobroczynności zamierza zebrać fundusz stypendyalny dla jednego wychowanka z zakładu sierot imienia Jachowicza z celem kształcenia go wyższego w obranym rzemiośle. Zarazem jeden z pedagogów przygotowuje odezwt publiczny, który obejmie biografią szlachetnego, zasłużonego społeczeństwu człowieka i rozbiór jego pism. Bajki pełne prostoty w wyrazie, a głębokiej myśli w pojęciu obowiązków człowieka i jego przeznaczenia wśród ludzkości, mieć będą przez lata długie wpływ na umysły dziecinne, na kształcenie więc moralne pokoleń młodych. Książka jubileuszowa powinna by się dostać między lud, który by wziął do serca i umysłu te pocziwe, zacne myśli.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: ark. 4 powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Ś. p. Seweryna Mauersberger. — Z cyklu morskich pieśni, przez Szczęsną. — Kędy droga. Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Z Włoch, przez Augusta. — Z Wiednia, przez Oswalda. — Sorrento, przez Z. S. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 4. — Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.